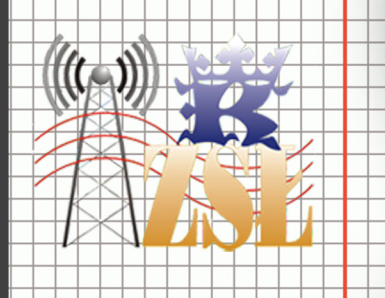


MARGINES

szkoła - uczniowie - prasa

Wrzesień 2012 | Ciałem w szkole, myślami na wakacjach.



WSTĘPNIAK

kastel

Po wakacjach szkoła przywitała nas **znowu**. Tym razem cała pokryta rusztowaniem, śmiesznymi panami robotnikami zarabiającymi taką gotówkę, że mam ochotę zmienić kierunek kształcenia na budowlankę oraz zawalonym dachem (rest in peace). Nasza jakże ukochana całym serduszkim łączność przybierze teraz barwy maskujące bazy wojskowej w Afganistanie. Przywitała nas także nowym (czy dobrym czy złym – oceńcie sami mnie na smyczy trzyma cenzura) systemem oceniania. Mamy jakieś wagi, współczynniki do dziennika elektronicznego, któremu pasowałaby nazwa „Jeszcze_mnie_nie_będzie_przez_dwa_lata_ale_już_dziś_utrudnię_wszystkim_życie” w wersji 0.2 beta preview. Zakładam, że nawet twórca tego systemu nie wie, o co chodzi w nim do końca...

Wrzesień każdego roku to czas, w którym każda szkoła wita swoich nowych rekrutów (wita także, beznadziejną pogodą, o czym co roku nikt nie mówi). My, jako pluton Redakcji w dywizji łączności także przyjaźnie otwieramy ręczki i polecamy zaciągnąć się do nas w gabinecie polonistycznym u kapitana Bogusława Bogusza. „Margines” to pismo, które poszerza horyzonty (albo ryje całkowicie beret, o czym też nikt co roku nie wspomina), umila czas na niektórych mało pasjonujących i porywających ćwiczeniach na poligonie (czyt. zajęciach). Możecie przeczytać tutaj recenzje (nowych broni), świetne i wielokrotnie nagradzane felietony, relacje z misji do miejsc, w których Makłowicz chętnie by gotował pyszne i delikatne steki wołowe w sosie południowo-włoskim z lekką nutą i posmakiem pomidorów, szczypiorku oraz jakże smacznej i bogatej w witaminy, sole mineralne, pożywej bazylii wonnej inaczej zwaną pospolitą, a także żurek. Smaczny. Ponadto kolejna część jakże fenomenalnego poradnika o wyrzucaniu kobiet (z korzeniami). No tak jak zawsze i co miesiąc jest tu wszystko, co trzeba i każdy znajdzie coś dla swojej persony.

Teraz na poważnie: na zakończenie chciałbym wnieść taką prośbę do nowych i starszych uczniów. Nauczcie się chodzić po szkole normalnie i prosto, bo czasami już nie wytrzymuję, jak próbuję wyprzedzić lub ominąć kogoś na korytarzu, a ten idzie na boki, rozgląda się, nie wie, co ma ze sobą zrobić; tu trzeba komuś przybić piątkę, tu sobie z kimś pogadam albo (moje ulubione) nagle zatrzyma się! Chodźcie czasami tak chaotycznie, przez co proste zejście na schodach trwa zdecydowanie za długo. Chodzimy pewnym żołnierskim krokiem, jak na komandosów przystało, po prawej stronie korytarza, a jak całym oddziałem... znaczy klasą sterczymy pod drzwiami, to w taki sposób, aby umożliwić w miarę normalne przejście pozostałym łącznościowcom. Pozdrawiam.

Co w numerze?

Salon Maturzystów	s. 3
Wyrwij i ty – część 3	s. 3
ZSŁnews	s. 4
Główny szlak beskidzki	s. 5
Seria o Kobietach	s. 6
Gimbazjalny szal!	s. 6
Milla	s. 7
Dwudniowy spływ rzeką Wel	s. 8
Znak i Litera	s. 9
Oczami kobiety – Podryw	s. 9
Kącik Sucharów	s. 9
Recenzja filmu „Watchmen”	s. 10
Matura to bzdura?	s. 10
Własny smak	s. 11
Film - Noc na ziemi	s. 12
Moje seriale	s. 12

MARGINES

Gazeta Szkolna

Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Anna Oleś
Łukasz Ożóg
Damian Hanusiak
Paweł Górszczak
Wiktoria Kaim
Anna Karez
Maciek Pietrzyk
Artur Kawala



Opieka/konsultacja/korekta:
mgr Bogusław Bogusz

e-mail: zslmargins@o2.pl
www: www.tnij.org/margin

Salon Maturzystów sowilo

KIEDYŚ PIERWSZAKI, DZISIAJ MATURZYŚCI, PRZED KTÓRYMI STOI TRUDNY WYBÓR. JAK ROZPOCZĄĆ ROK AKADEMICKI, CHOĆ BRZMIĄCY BARDZO ODLEGLE, 2013 NA 2014?

W połowie września (poniedziałek 17 i wtorek 18) odbył się przy ul. Krupniczej w Krakowie, w gmachu Auditorium Maximum UJ, Salon Maturzystów organizowany przez „Perspektywy” (wiecie, ten cały ranking, wg którego nasze Technikum jest jedną z najlepszych szkół średnich w Polsce). Gdy zobaczyliśmy kolorowe plakaty porozwieszane w całej szkole, bardzo się ucieszyliśmy (my – maturzyści ma się rozumieć). Może w końcu dowiemy się czegoś o interesujących nas uczelniach wyższych z pierwszej ręki, poznamy wymagane przedmioty na maturze na poszczególne kierunki, wysłuchamy ciekawych wykładów.

Czar i radość niestety szybko przysły, bo okazało się, że na wykładach nie było już żadnego miejsca. Jak się później dowiedzieliśmy (jeden z panów-organizatorów okazał się bardzo rozmowny), najbardziej chodliwe tematy, takie jak prezentacje Akademii Górniczo-Hutniczej czy Uniwersytetu Jagiellońskiego, rezerwowały się dosłownie w przeciągu kilku dni od ogłoszenia terminu (czyli daaawno daaawno temu). Nie zrezygnowaliśmy jednak z naszych planów – wszak oprócz wykładów miały być też stoiska z ulotkami i innymi gadżetami – czyli coś w sam raz dla nas.

Schody zaczęły się jednak już kilka minut po przybyciu na miejsce Salonu. Właściwie powinnam jednak napisać – zaczął się brak schodów. Z tablicy informacyjnej odczytaliśmy komunikat, że stoiska uczelni znajdują się na poziomie minus jeden, obok były plany budynku: parter i piętra raz, dwa, trzy. Ale nikt nie wie, jak dotrzeć do piwnicy/garażów podziemnych. Tajemnica się po chwili rozwiązała – jest i winda, niestety bardzo oblegana przez tłumy maturzystów maszerujących we wszystkich możliwych kierunkach i zachowujących się tak głośno, jak wściekły rój pszczół. Ktoś gdzieś powiedział, że podobno są schody... które znaleźliśmy dopiero po kilku ślepych zaułkach i ostatecznemu zjechaniu do podziemi windą, do której się w końcu dopchaliśmy.

Dotarliśmy do naszych stoisk. Rozpoczęła się walka o informatory, ulotki, kartki, świstki, książki, długopisy, cukierki... Sama po godzinie dźwigałam pod pachą ładną stertę makulatury i wyposażenie piórnika przeciętnego technikalisty. Oprócz krakowskich uczelni, reklamowały się także szkoły z innych miast (np. medyczna z Łodzi), a nawet państw (studia w Niemczech? Czemu nie?). Ale oprócz kolorowej oprawy za wiele nie zobaczyliśmy. Oh, można było kupić za „promocyjną” cenę Vademecum Operonu do wybranego przedmiotu i dowiedzieć się więcej o kredytach studenckich. Po łączności wiele osób chciałoby dostać się na AGH. My też mamy takie plany i marzenia, więc zaczęliśmy jedną z promoterek z ich stoiska. Ale niestety pani, choć uroczą, za wiele nam nie powiedziała. Dużo więcej można było wyczytać z ich strony internetowej. Przy pytaniu o różnicę pomiędzy informatyką „zwykłą” a stosowaną, to chyba nawet nie wiedziała, co ma powiedzieć i ratowała się oczywistymi faktami...

Po dwugodzinnej wędrówce pomiędzy stoiskami musieliśmy wrócić na lekcje do szkoły, matematyka wzywa! :) Jakie podsumowanie wyprawy napiszę? Że siatka z „łupami” była ciężka, a jak ktoś chce się dowiedzieć dokładniejszych informacji na temat danej uczelni i kierunku, to raczej musi się wybrać na konkretny dzień otwarty, a nie na taki przegląd. Wszystko, czyli nic, jak to mówią.

Wyrwij i ty – część 3 Hubcio

PRZED WAKACJAMI STARAŁEM SIĘ WAM WSZYSTKIM POMÓC, ŻEBYŚCIE UMIELI SOBIE COŚ WYRWAĆ NA CZAS WOLNY. TERAZ OPOWIEM, JAK UTRZYMAĆ ZDOBYCZ PRZY SOBIE!

1. Pisz jej co 15 minut sms'a, że ją kochasz. Dzięki temu dostrzeże w tobie romantyka.

2. Potem jej napisz, że żartowałeś. Obrazi się na ciebie.

3. Następnie wyślij jej wiadomość, że dlatego żartowałeś, bo ją BARDZO kochasz. Jest twoja na kolejny tydzień.

4. Gdy powie ci, że jest gruba, potwierdź. Szczerść jest ważna. Plus 3 dni dłużej.

5. A gdy powie ci, że jest brzydka, powiedz, że to nie prawda. „Jesteś słodki.” Dzień więcej.

6. Jeżeli się pokłócicie, to przeproś. Nawet jeśli to wszystko przez nią się stało. Dostrzeże w tobie chęć walki o związek. Zarobiłeś 5 dni.

7. A jak przeprosisz ją, dając jej różę, to 6 dni.

8. No chyba, że nie lubi kwiatów. To minus 2 dni.

9. Wykorzystaj najstarszy numer świata i wrzuć jej przez okno romantyczny list w kopercie (znaczy wiadomość na cegle, kojarzycie motyw). Okno musi być zamknięte. Na twoje konto wpada cały tydzień, ale tracisz 500 zł.

10. Jeżeli zaczniecie odczuwać rutynę w swoim związku, to wróć do punktu 1.

11. Kup jej czekoladę, ale taką najbardziej kaloryczną i największą, jaka jest w sklepie. Nie będzie jej chciała, ale po namowie powie ci, że jesteś słodki i ją zje. Kolejne 2 dni więcej, ale musisz przypakować, bo się jej przytyło troszku.

12. Nie chcesz przypakować? To ją teraz podnieś.

13. No właśnie.

14. Spełniajcie swoje pasje razem. Niech patrzy, jak wbijasz level już piątą godzinę z rzędu. Brak premii.

15. Teraz combo-breaker. Idźcie na spacer w tłoczne miejsce. Stań przed nią i zacznij śpiewać jakąś wieśniacką serenadę. Chwyci ją to za serce. Za wstyd też, ale tym sposobem zyskałeś 2 tygodnie!

16. Metoda na hardcora: weź się z nią ożeń. Przy najmniej rok więcej.

17. Dobra, żartowałem!

18. Uczcie się razem.

19. Nie, nie żartuję. Plus 8 godzin.

20. I naucz się myśleć sam! Zyskasz nieskończoność godzin więcej.

Po napisaniu trzeciej części czuję się spełniony. Wiecie już wszystko, znacie całą moją wiedzę. Nie mam wam nic więcej w tej kwestii do powiedzenia. Odmaszerować.

ZSłnews

Wojciech Gajda

PO KILKU MIESIĄCACH PRZERWY POWRACAMY Z SERIĄ CYKLICZNYCH ARTYKUŁÓW DOTYCZĄCYCH WYDA-
RZEŃ Z ŻYCIA SZKOŁY.

Rozpoczęcie roku szkolnego 2012/2013 to już przeszłość. Uczniom ZSł, i nie tylko, pozostaje już jedynie odliczać do kolejnych wakacji – tym bardziej, że w tym roku kalendarz nam nie sprzyja i długich weekendów będzie jak na lekarstwo. 3. września 1290 uczniów zebrało się na boisku szkolnym i wraz z gronem pedagogicznym zainaugurowała nowy rok. Rok, który jak się okazało, będzie w progach naszej szkoły przebiegać pod znakiem zmian.

Modyfikacji uległ między innymi Wewnątrzszkolny System Oceniania, sko-

rygowany na potrzeby wprowadzenia elektronicznego dziennika w naszej szkole. Z powierzchownych obserwacji wynika, że nowe zasady mają tyłu samych zwolenników, co i przeciwników. Plusem obecnie obowiązujących reguł dla uczniów jest chociażby otrzymanie oceny dopuszczającej - będącej błogosławieństwem dla osoby, która nie radzi sobie z jakimś przedmiotem – już od średniej 1,75. Wcześniej taki próg był ustalany indywidualnie przez każdego nauczyciela. Nowością korzystną dla uczniów jest także sposób obliczania średniej z poprawianych ocen, do której od teraz doliczane jest minimum 0,25 stopnia. Pozytywniejsza wydaje się także skala ocen końcoworocznych, za sprawą której uczeń mający średnią np. 3,50 nie będzie już musiał w czerwcu w pocie czoła walczyć o wyciągnięcie oceny, lecz otrzyma ocenę dobrą. Ujednolicony system punktowy obowiązujący na wielu przedmiotach zawodowych również większości uczniów przypadł do gu-

stu – od tego roku każdy sprawdzian będzie tak samo istotny i będzie miał taki sam wpływ na ocenę końcową. Czyżby wszystko było takie idealne? Nie do końca. Z pewnością nie na rękę uczniom jest wprowadzenie średniej ważonej, która powoduje bardzo duży wpływ ocen uzyskanych ze sprawdzianów na ocenę końcoworoczną. Można by się także zastanowić, czy takie zautomatyzowanie i uschematowanie systemu oceniania nie odbiera nauczycielom autorytetu. W czasach rozwoju technologicznego sprawdziany mogłyby poprawiać komputer, a grono pedagogiczne mogłoby być

odpowiedzialne jedynie za prowadzenie wykładów merytorycznych. Ale chyba nie do tego to wszystko dąży?

Zaskoczeniem po dwumiesięcznej przerwie od szkoły był także dla wszystkich widok rusztowań otaczających łącznościową twierdzę ze wszystkich stron, wymiana okien we wszystkich salach oraz wyremontowanie pierwszego piętra głównego budynku. Cóż za generalne porządki! Już po kilku dniach ujrzeliśmy kolorowe ściany szkoły, a jej ocieplenie z pewnością sprawi, że najbliż-



szą zimą będziemy wspominać cieplej, niż poprzednią. A póki co, wszyscy oczekują nowego daszka przed wejściem głównym. Czy i tym razem uda się nas zaskoczyć?

Minęło zaledwie kilkanaście dni września, w łączności już się dzieje! W piątek, 14. września, w związku z ogólnopolską akcją „Sprzątanie Świata”, na terenie ZSł zorganizowano zbiórkę surowców wtórnych, a uczniowie klas 2la i 1Ta uczestniczyli w porządkowaniu okolic pobliskiej rzeki Wilgi. Ruszyła także prawdziwa seria konkursów: na początek propozycję mają dla Was nauczyciele języka niemieckiego, którzy zorganizowali Wakacyjny Konkurs Fotograficzny oraz Samorząd Uczniowski organizujący konkurs związany z obchodami Dnia Programisty. Szczegóły w Aktualnościach na stronie szkoły (www.tl.krakow.pl/).

To byłoby na tyle we wrześniowym wydaniu ZSłnews, polecamy się na przyszłość.



Główny Szlak Beskidzki

Michał Różycki

MARZENIA, KTÓRE WATRO MIEĆ, ALE JEDNAK LEPIEJ WYGLĄDAJĄ SPEŁNIONE.

Cz. 1., czyli o historii marzenia, od którego wszystko się zaczęło

Każde wydarzenie ma swój początek w jednym punkcie w czasie. Dla mnie czymś takim był X Rajd o Puchar Dyrektora Zespołu Szkół Łączności w Krakowie, który odbył się w czerwcu 2011 roku. Wtedy jeszcze jako świeży uczeń ZSł często chodziłem po górach, jednak nigdy na wielodniowe wycieczki. Ów rajd otworzył mi oczy na takową możliwość. Był to mały kamyczek, który spowodował lawinę pomysłów, marzeń i planów na przyszłość. Wystarczyło, abym w te wakacje pokonał trasę Głównego Szlaku Beskidzkiego, liczącego około 500 km i aby ciągle było mi mało. Przejście zajęło mi 19 dni w czasie, w którym szedłem przez Bieszczady, Beskid Niski, Beskid Sądecki, Gorce, Beskid Żywiecki oraz Beskid Śląski. Spotkałem całą masę wspaniałych ludzi, nocowałem pod namiotem oraz wspinałem się na najwyższe góry Beskidów i Bieszczad.

Jednak wracając do rajdu... W czasie niego poruszaliśmy się GSB, ale tylko na terenie Beskidu Sądeckiego. Jak tylko wróciłem do domu, zacząłem szukać informacji o tym szlaku. Znalazłem specjalny przewodnik po GSB (który następnie okazał się świetnym zakupem) oraz stopnie odznak, które można zdobyć, poruszając się po nim. Poprzeczkę postawiłem sobie najwyższą, a mianowicie zdobycie Diamentowej Odznaki Głównego Szlaku Beskidzkiego. Wiązało się to z jednorazowym przejściem całego GSB w czasie nie dłuższym niż 21 dni. Jak postanowiłem, tak zrobiłem, rozpoczynając tę przygodę w lipcu 2012 roku.

Jednak najpierw trzeba było poczynić odpowiednie przygotowania. Rozpocząłem je od zakupu nowoczesnego plecaka oraz małego lekkiego śpiwora. Doświadczenie zdobyte na rajdzie nauczyło mnie, że najlepiej zabrać rzeczy najbardziej poręczne, bo ciągle będę musiał je nosić na plecach. Nota bene zakupy wakacyjnego sprzętu górskiego najlepiej jest robić w zimie, ponieważ możemy wtedy liczyć na największe upusty cenowe. Następnie przyszła kolej na ubranie - powinno być wygodne i wytrzymałe, lecz jednocześnie lekkie i typowo sportowe. Oczywiście można takowe kupić w drogich sklepach z odzieżą sportową, ja natomiast polecam odwiedzenie hipermarketów, gdzie za przyzwoitą cenę można kupić odpowiednie odzienie. W czerwcu wszystko już zostało skompletowane i miało przejść swój pierwszy test w warunkach bojowych, tj. kolejny szkolny rajd. Na moje szczęście lub nieszczęście odbywał się on znowu na trasie GSB, tym razem na terenie Bieszczad. Dzięki temu miałem rozeznanie w początkowej części mojej trasy, bo właśnie w Bieszczadach zamierzałem zacząć. Po przetestowaniu całego sprzętu, który wypadł wręcz śpiewająco, nadeszła pora wyruszyć na wielką przygodę.

Cz. 2, czyli spełnianie marzenia w praktyce.

W Bieszczady, a dokładnie do Ustrzyk Górnych, dostałem się z Krakowa autobusem, a na następny dzień złapałem stopa do miejscowości Wołosate, gdzie Główny Szlak Beskidzki ma swój początek. Przejście GSB zacząłem od wejścia na najwyższy szczyt Bieszczad, Tarnicę. Następnie trasa wiodła przez Połoniny: Caryńską i Wetlińską. Kiedy świeci słońce, połoniny wyglądają przepięknie. Natomiast ja miałem okazję poznać je od strony burzowo-deszczowej, podobnie jak całą trasę GSB. W trzeci dzień doszedłem do schroniska „Pod Honem” w Cisnej. Z nim wiąże się jedno z najlepszych wspomnień z całej trasy. Kolejnego dnia udałem się do Komańczy, gdzie kończą się Bieszczady, a zaczyna Beskid Niski, jeden z najrzadziej uczęszczanych Beskidów w Polsce. Jest to niestety prawda, bo przez większość czasu, gdy nim szedłem, spotkałem bardzo mało turystów. Dalej idąc Beskidem Niskim, dotarłem aż do Krynicy-Zdroju, gdzie zaczyna się Beskid Sądecki. Była to po-



łowa trasy GSB - więc miejsce bardzo znaczące, jeśli chodzi o pokonywanie znacznych odległości. Od tego miejsca liczyłem już tylko dni do końca. Kolejnym przystankiem była Chatka pod Niemcową. Miejsce niezwykle klimatyczne, pozwalające odpocząć od zgiełku miasta, pracy i rodziny. Gdybym mógł, spędziłbym tam więcej czasu, ale niestety, będąc w trasie, nie można pozwalać sobie na takie przyjemności. Po opuszczeniu tego magicznego miejsca moja trasa wiodła przez Radziejową, Przehybę oraz Lubań, gdzie znajdowała się baza namiotowa Studenckiego Koła Przewodników Górskich z Krakowa. Nie było to pierwsze tego typu schronienie w czasie mojej wędrówki, lecz ono zasługuje na szczególną uwagę. Tam poznałem wspaniałych ludzi, a w szczególności pewne małżeństwo z Krakowa, z którym spędziłem czas, prowadząc pasjonujące rozmowy. Jak się okazało, oboje mieli ciekawą historię. Jacek pochodził z Warszawy i był wielkim pasjonatem książki oraz komiksu, zupełnie jak ja. Natomiast Kasia wywodziła się z Poznania. Jednak oboje wybrali jako wspólne gniazdko właśnie Kraków. Najprzyjemniejsze było szukanie drewna w lesie, na które wybrałem się z Jackiem. Przez godzinę chodziliśmy po lesie i prowadziliśmy dyskusję na różne tematy, jednak wszystko zawsze sprowadzało się do zdania: „A czytałeś może...?” Drewna nie znaleźliśmy za wiele, lecz z drugiej strony poznałem kilku ciekawych autorów, których książki zamierzam przeczytać. Jak w życiu bywa, wszystko co dobre z czasem się kończy. Jedyną nieprzyjemną zajście miało miejsce w Schronisku „Na Maciejowej”. Tam, wbrew powszechnej zasadzie o udzielaniu schronienia wszystkim potrzebującym, nie zostałem przyjęty. Dlatego zmęczony i z zachodzącym słońcem przed sobą musiałem udać się do Rabki-Zdrój, gdzie na szczęście znalazłem nocleg. Kolejny etap jest najrzadziej uczęszczanym odcinkiem GSB, ponieważ głównie prowadzi on poboczem głównej drogi. Po przebyciu już około 400 km, zostałem poddany ostatniej dużej próbie, a mianowicie zdobyciu Babiej Góry - królowej polskich Beskidów. Dokonywanie tego przyszło mi łatwiej, tylko z jednej przyczyny. Były to tabuny ludzi zmierzające w tym samym kierunku. Ja nieprzyzwyczajony do obcowania z większą ilością osób na szlaku, musiałem przyspieszyć, co zaowocowało wejściem o ponad godzinę szybszym niżeli pokazywały znaki. Następnie trasa wiodła już bardziej z góry niż pod górę, aż do Ustronia.

Tak więc po 19 dniach, wielu burzach, kilku upadkach fizycznych jak i moralnych dotarłem do stacji kolejowej w Ustroniu, gdzie czekał na mnie wymarzony znak kończący Główny Szlak Beskidzki.

Na koniec chciałbym przytoczyć moje ulubione zdanie z przewodnika po GSB: „Po pokonaniu niemal 500 km, nasza trasa dobiegła końca”. Życzę każdemu, aby w jego życiu pojawił się taki kamyczek, który go popchnie do tworzenia i spełniania swoich marzeń. Natomiast dla mnie kolejnym celem jest Główny Szlak Sudecki, ale to dopiero marzenie na przyszłe wakacje. Mam nadzieję, że się spełni.

Seria o Kobietach

Wiktorja Kaim

TRIKI, KTÓRE POZWOLĄ NA WZROST W OCZACH PŁCI PIĘKNEJ, WYKORZYSTYWAĆ DO WOLI!

Po zakamarkach kobiecej torebki i toalety, czas przejść do zakamarków kobiecej psychiki. Na pewno znasz taką sytuację – wszystko super pięknie, rozmowa klei się jak krówka i nagle BACH, dziewczyna się nie odzywa, a Ty nie masz pojęcia, co takiego powiedziałaś. Odpowiem na to dosyć krótko – wszystkie kwejki typu „10 zasad, o których powinienś pamiętać przy kobiecie”, „10 zdań, których nigdy nie wypowiadaj” nie kłamią. Kobiety lubią, jak się je dopieszcza, komplementuje, przynosi kosze słodyczy lub śpiewa serenady pod oknem (lecz mężczyzno, jeśli wiesz, że nie potrafisz śpiewać, wiedz, że możesz zaliczyć butem od sąsiada). Jako że mimo wszystko temat jest dosyć rozległy, przekażę bardzo skróconą wersję zachowań, które powinny się stosować przy każdej kobiecie, nie tylko wybranki serca.

Po pierwsze i jak amen w pacierzu – kobieta to nie facet. Pomimo tego że czasem możesz się pomylić, mówiąc do kórejś Heniek albo Staszek, to zrozumienie tej zasady jest połową sukcesu.

Po drugie, to naprawdę miłe, kiedy przepuszczacie nas w drzwiach. Wiem, że istnieje bardzo dużo mężczyzn, którzy stosują ów trik przy każdej okazji – BÓG WAM ZA TO ZAPŁAĆ, ale smutno, że większość uczy się tego z czasem, a niektórzy w ogóle tego nie respektują. Facet, który grzecznie czeka, aż przejdę lub trzyma mi drzwi (a ja mu ufam i mam nadzieję, że mnie zdrowo nimi nie rąbnie) rośnie w moich (i każdej innej kobiety) oczach. Stąd już bardzo niedaleko do bycia w minimalnym stopniu dżentelmenem. To tylko sekunda, a dobre wrażenie zostaje na dłużej. (Oczywiście, stosując większość zasad savoir – vivre’u, można urosnąć do Naprawdę Znacznych Rozmiarów.)

Po trzecie, postawienie kawy/jedzenia/kina to nie żadna zbrodnia, więc nawet jeśli dziewczyna proponuje układ 50/50, to czasem warto się uprzeć. Chyba że będzie się zapierała rękami i nogami. W każdym razie lekki sprzeciw, jest zazwyczaj dla grzeczności, coś typu „nie, naprawdę nie trzeba!” i czasem można się nieźle wkopać, kiedy facet od razu mówi tak, gdy dziewczyna ma przy sobie tylko 5zł. Chyba że naprawdę nie ma się takich funduszy, wtedy 50/50 jest całkiem okej.

Po czwarte, genialna zasada – nie ma kobiet brzydkich, są tylko „mniej ładne” i ta zasada dotyczy obu płci. Dziewczynom zawsze trzeba mówić, że dobrze wyglądają, nawet jeśli wyglądają jak laptop rozjechany przez ciężarówkę. Generalnie kobiety należy komplementować, to bardzo dobrze wpływa na psychikę, samopoczucie i przełącznik „PMS” włącz – wyłącz.

Cztery proste zasady, a kobieta staje się bardziej do opamięnowania. Mam nadzieję, że skorzystasz z tych zasad, by świat stał się piękniejszy i kwitły przebiśniegi. Do następnego numeru!

Gimbazjalny szał!

Hubcio

SŁOWO GIMBUSY. KIEDYŚ MIAŁO DLA MNIE CAŁKIEM INNE ZNACZENIE.

Zaczniemy od samej definicji słowa „gimbus”. Ciężko to w ogóle zdefiniować, bo to pojęcie pierwotne, które po prostu trzeba znać i tyle. Ale dla opornych troszkę przybliżę sytuację. Jakiś czas temu zwrot ten był dla mnie tylko określeniem kogoś, kto przychodzi na koncerty, nie znając twórczości artysty, lecz tylko jedną piosenkę, dzięki której jest wielkim „fanem”. Jednak z biegiem czasu to znaczne określenie zaczęło opisywać większą grupę społeczną. Pokusiłbym się wręcz o nazwanie tego subkulturą, podobną do kiedyś opisywanych przez moją skromną osobę pokemonów (czyt. kilka numerów wstecz). Ale do rzeczy. Osoby te są najczęściej w wieku gimnazjalistów, ale i czasem nawet I liceum/technikum (nie obrażajcie się, wy na pewno jesteście spokoziomki). Swoim zachowaniem pokazują, że są władcami świata, są „fajni”, super, cool i ogólnie są krejzole. I na wszystkim się znają. I wszystko hejtują. Bo lubią. Oporni rozumieją już znaczenie słowa „gimbus”, a jeżeli nie, to mówiłem, że to pojęcie pierwotne i tyle w tym temacie. Ogólnie rzecz biorąc, ten typ ludzi jest mało lubiany, ale niezwykle popularny. Przytoczę parę przykładów z dnia 3.09.2012 – tak właśnie, rozpoczęcie roku szkolnego, czyli gimbuzjalny szał. Spodziewałem się, że tego dnia raczej luźno w autobusach nie będzie oraz tego, że czeka mnie istna droga przez mękę. Trzy przystanki za pętlą: komunikacja miejska pełna młodzieży wiadomego typu. Krzyki, przechwalanie się, popychania, zabawy („Bo pierwszy raz autobusem do szkoły jadę, whoa!”), poprawianie makijażu, narzekanie na gorąc i tłum. Ci bardziej dorośli (tak, tak, świeżaki z liceum) wyraźnie trzymają władzę. Wyprostowani, agresywnie nastawieni wobec ich młodszych kolegów, ale dalej zachowujących się tak samo jak oni. Natomiast wracając, widzę inną sytuację. Gimnazyjka (gimnazjum) została opuszczona przez kolonistów i ponownie wszyscy zmierzają na przystanki. Tłok, no bo jakżeby inaczej. Jedziemy, dojeżdżamy do postoju. Gimbus, najwyższy ze wszystkich krzyczy swoim pięknym, jeszcze mutującym się głosem: „Open The Door!”. Wiadać, że fajny, bo się nowo poznane koleżanki śmieją. To drugi też nie będzie gorszy i mówi jeszcze głośniejsz „Close The Door!”. Fala śmiechu troszkę mniejsza, ale nadal +5 do respektu wśród nowych znajomych. Ech... Niestety, młode pokolenie (bo ja się już starzeję, więc luz) jest coraz bardziej dziwne. Ale może tak ma być. Nie wiem. I większość gimbosów pewnie uważa nas za gimbosów, ale my nie jesteśmy gimbosami, bo my jesteśmy tru. Dziękuję.

Milla

serfer

W OSTATNIM ROZDZIALE NASZ NIESFORNY PRZYJACIEL PABLO UWOLNIŁ SIĘ Z OPRESJI I SKOŃCZYŁ Z WIELKIM KACEM W KRYJÓWCE GNOLA AMULA. TYMCZASEM ŁUCZNICZKA MILLA BEZBRONNA I WYCIEŃCZONA, CIĄGLE ZNAJDOWAŁA SIĘ W NIEWOLI. DO TEJ PORY NIE WIEDZIAŁA, DO CZEGO JEST POTRZEBNA DRYBLASOWI ZE SZRAMĄ, TERAZ SIĘ MIAŁA TEGO WŁAŚNIE DOWIEDZIEĆ...

Gra cieni - część 1

Ciągle znajdowała się w tym samym czerwonym namiocie, zerwał się porywisty wiatr, płachty schronienia zaczęły furkotać pod wpływem gwałtownych uderzeń powietrza.

Przez niewielką pionową szczelinę w materiale, na której wicher co chwilę pogwizdywał, wlatywał przeszywający ziąb. Kobieta o bursztynowych włosach, siedziała na środku, związana, trzęsła się z zimna i szczykała zębami. Nagle do namiotu wkroczyła majestatyczna, barczysta postać. Jej znakiem szczególnym bez wątpienia była duża szrama ciągnąca się od czoła, aż do początku potylicy. Ciężkim krokiem postać podeszła do kobiety, która najwyraźniej nie zwróciła zbyt wielkiej uwagi na to, że drab wszedł do pomieszczenia. Wpatrywała się pustym wzrokiem w ziemię.

– Zapewne, zastanawiasz się, czemu pozbawiłem się tej przyjemności i nie zabiłem cię od razu – przemówiła postać w szkarłatnym płaszczu. Jak już mówiłem, jesteś mi jeszcze do czegoś potrzebna. Poza tym rozprawię się z tobą bardziej finazyjnie, no chyba, że... i tu przechodzimy do meritum, dasz mi bandę Cienia.

Milla podniosła wzrok i przeglądnęła się rycerzowi.

– Pierwsze słyszę o czymś takim jak banda Cienia. Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała z ironią, wykrzywiając usta w coś na kształt uśmiechu.

– Nie rób ze mnie głupca, wiem, że przez ostatnie kilka lat latałaś z tą bandą obdartusów. Albo mi powiesz, gdzie oni są, albo wyciągnę to z ciebie siłą, wybieraj.

Kobieta splunęła mężczyźnie w twarz. Po moim trupie – wycedziła.

– Sama tego chciałaś...

Przez następne kilka godzin, doszło do drastycznych scen. Pomimo wszelkich „starań” draba, Milla nie dała się złamać, nad wyraz silna z niej była kobieta. Jej siła woli i zapewne więź, jaka łączyła ją z grupką przyjaciół, z którymi spędziła najlepsze lata swojego życia, nie pozwoliły ich wydać. Łuczniczka miała połamane zębra, straciła kilka zębów, przed oczyma miała już tylko mgłę, a w jej głowie ustały ciągłe obelgi, których adresatem był jej oprawca. Przeszła przeklinać swój los, była już tylko bezdenna pustka. Powoli traciła kontakt ze światem i niezdolna była już do logicznego myślenia, a co dopiero do artykułowanej mowy. Barczysty mężczyzna właśnie sobie to uświadomił i doszedł do wniosku, że dzisiaj już nic nie wskóra. W tym samym momencie, gdy mężczyzna się obrócił, ktoś wszedł do namiotu.

– Kapitanie Goranie, mam informacje od szpiegów – powiedział zdyszany rycerz w kolczastej zbroi. Dowiedzieli się od ludzi z Villevin, że ktoś widział bandę kilka dni temu w zajeździe „Pod Topolą”, potem zniknęli, ale prawdopodobnie gdzieś tu się jeszcze kręcą. Można by popytać w slumsach, mam wysłać tam ludzi?

– Draba zaciekawiła ta wiadomość, na jego twarzy było widać zadowolenie. Złapał się za brodę, przez krótką chwilę się nią bawił. Gdy się namyślił, odpowiedział: Sam się tym zajmę poruczniku Loganie.

Nastała północ, malownicze miasteczko Villevin było już od jakiegoś czasu pogrążone we śnie. Była pełnia, piękny okrągły świecący talarek, rzucał bladą poświatą na okoliczne dachy i okiennice. Światło księżyca i gdzieś tam rozpalonych pochodni sprawiło, że było całkiem widno. Przy jednej ze ścian kamienicy było widać burego kocura, który skradął się w kierunku niczego nie podejrzewającej myszy, która była zajęta pałaszowaniem resztek jedzenia rozrzuconych nieopodal rabatki. Ciemną uliczką szła zakapturzona postać, był to mężczyzna znacznej postury, do lewego boku przytroczony miał miecz półtoraręczny, co mówiło o nim tyle, że oprócz niemałej postury ma także niebywałą krzepę, bo nie każdy był w stanie utrzymać taki spory kawałek żelaza. Mimo tego, że w pobliżu nie

było żywej duszy, unikał światła księżyca i poruszał się tylko w ciemniejszych miejscach. Wszedł w kolejną uliczkę, przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów i znalazł się w slumsach. Nie był to miły widok. Zawalające się i próchniejące szopy i domki. W jednej chacie brakowało nawet sporej części dachu. Nieopodal było widać kratkę ściekową, z której wydobywał się przeokropny fetor. Gdzieś w oddali widniał pomarańczowy blask, to kłoszarzyskie ogrzewali się przy gorących płomieniach dopiero co rozpalonego ogniska. Postąpił jeszcze kilka kroków, gdy stanął przed wyróżniającym się dosyć od reszty drewnianym budynkiem. Wyróżniał się dlatego, że był najbardziej zadbane ze wszystkich i sprawiał wrażenie solidnego, co nie oznaczało, że był jakimś cudem architektury. Nad wielkimi drzwiami znajdował się szyld, na którym widniał kufel jasnego piwa i napis: „Karczma u Rodnara”. Zakapturzona postać weszła do środka. Jego oczom ukazała się niezbyt schludna izba pełna pijanych ludzi, a raczej zwierzyzny, bo panował tam straszny gwar, istna kakofonia. To ktoś rzucił porządnie mięsem, bo partner od gry okantował go w karty, z czego potem wywiązała się sprzeczka i oprócz przekleństw latały też kufle i krzesła... To ktoś dostał w mordę, ot tak, bo nie spodobała się jednemu jego twarz, więc istny chaos, a wszystkiemu wtórowała skoczna muzyka i głos okolicznej wieśniaczki, do której przystawiały się opryszki. Barczysty mężczyzna umiejętnie wyminął zataczającego się męta, który zdecydowanie przeholował z trunkiem, bo zaraz potem runął twarzą na nieheblowane deski. Podeszedł do karczmarza, klepiąc go w tył pleców. Karczmarz obrócił się i pytającym wzrokiem spojrzał na przybysza.

– Chcę z tobą zamienić słówko Rodnarze, chcę cię prosić o przysługę. – powiedział ositek.

– Znamy się? – odpowiedział gruby karczmarz. – Bo jakoś nie przypominam sobie, żebym z kimś takim jak ty, pozwolił sobie na poufałość.

– A teraz może mnie kojarzysz? – wręczył grubasowi pokąsaną skórzaną sakiewkę.

– Ach tak, kuzyn Lawler już kojarzę, jak mogłem zapomnieć, zapraszam na zaplecze. Magnusie, miej na nich oko, żeby mi tu karczmy nie rozwalili, teraz muszę przez chwilę porozmawiać z kuzynem o interesach – krzyknął Rodnar w kierunku faceta w skórce, który zaraz potem skinął głową.

Gdy już znaleźli się z dala od wzroku osób trzecich, zapytał: No to czego chcesz?.

– Chciałbym cię prosić karczmarzu, żebyś przekazał hersztowi bandy cienia wiadomość, o tym, że łuczniczka Milla chciała się z nim spotkać w opuszczonej kopalni jutro o północy, aby omówić ponowne wstąpienie do kompanii. Powiedz mu też, że nie mogła być tu osobiście, ponieważ ludzie ją tu doskonale pamiętają, od tamtego wydarzenia nie minęło wcale tak wiele czasu. Poza tym tutaj za dużo się nie dzieje i takie rzeczy się pamięta. Jako dowód, przekazuje ona swój amulet...

Karczmarz łypnął na niego spod łba.

– Nie gwarantuję, że tu się jeszcze pojawią. Musiałbym gadać z tymi ochlapusami... Jeszcze by mi teb urzęnęli, że się pytam o Utana – powiedział.

– To jak to zrobisz, w ogóle mnie nie interesuje, no chyba, że chciałbyś się pożegnać z monetami...

A że Rodnar był strasznie chciwy, nie puściłby takiej okazji koło nosa, nawet jeżeli w grę wchodził jego własny tyłek. Potem zakapturzony mężczyzna obrócił się na pięcie i wyszedł z oberży zatrząskując za sobą drzwiami z hukiem. Powrotną drogę pokonywał już trochę zwawszym krokiem, na jego twarzy widniał szelmowski uśmieszek, wszystko mówiło, że był podniekowany. No to szykuje się nam niezła zabawa – powiedział drab do siebie, znikając za rogami kamienicy i pogrążając się w ciemnościach.

Dwudniowy spływ rzeką Wel

Tomasz Nowiński

NIE ZAWSZE TRZEBA WYJEŹDZAĆ GDZIEŚ DALEKO, ŻEBY ZOBACZYĆ PIĘKNE MIEJSCA.

Któregoś pięknego, sierpniowego wieczoru, gdy siedzieliśmy z rodzicami i znajomymi przy ognisku w miejscowości niedaleko Pól Grunwaldu, padł pomysł spływu kajakowego rzeką Wel.

Na wstępie krótko ją opiszę: Jest to rzeka o długości prawie 120 km, będąca lewym dopływem Drwęcy. Swój bieg zaczyna od Wzgórz Dylewskich jako mały ciek o nazwie Wkra Wielka. Dopływa do jeziora Dąbrowa Wielka i wypływa z niego już jako Wel.

Następnego dnia cały plan został dopracowany, wszystko dokładnie ustalone. Swoją przygodę mieliśmy zacząć w miejscu, w którym rzeka wypływa z Dąbrowy Małej. Pierwszego dnia naszym celem było jezioro Rumian. Tam mieliśmy rozbić namioty, pośpiewać przy ognisku i wypocząć przed następnym dniem płynięcia. Końcowym celem spływu był most za jeziorem Grady, gdzie zostawiony był samochód, którym mieliśmy wrócić do domu.

Wstaliśmy o godzinie 6 rano. Zjedliśmy solidne śniadanie i spakowaliśmy trzy kajaki na samochód. W jednym miał płynąć mój brat Rafał z żoną Elą. W drugim ja z tatą, a w trzecim mama z kuzynką Asią. Zapakowaliśmy trzy namioty, prowiant na dwa dni, ubrania na przebranie, coś od deszczu, apteczkę oraz maczetę (tę przywiezioną z Afryki) do przedzierania się przez zarośnięte, początkowe odcinki Welu. Pożegnaliśmy się ze znajomymi oraz przyjaciółmi i pojechaliśmy na miejsce.

Po przyjeździe okazało się, że rzeka jest zarośnięta bardziej niż myśleliśmy i zabranie maczety było dobrym posunięciem. Spakowaliśmy rzeczy do kajaków i spuściliśmy kajaki na wodę. Początkowo płynęło się bardzo ciężko z powodu trzin zarastających całą szerokość niewielkiej jeszcze rzeki. Po około godzinie płynięcia przez zarośla dopłynęliśmy do pierwszego, malutkiego jeziora - Pancer. Pokonanie go zajęło nam niewiele czasu. Rzeka wypływająca z niego była już troszkę większa i mniej zarośnięta. Dookoła rozciągał się piękny, soczysto zielony las. Płynęliśmy pod pięknym baldachimem z drzew.

Wel powoli zmieniał się z leniwej, małej rzeczki w górski strumień. Poziom wody opadł, kamienie i głazy wystawały ponad powierzchnię wody, a prąd znacząco przyspieszył. Miejscami wody było na tyle mało, że trzeba było wysiąść z kajaków i przeprowadzić je przez płycizny. Po około 3 godzinach zrobiliśmy przerwę. Posililiśmy się drożdżówkami i kanapkami. Odpoczynek trwał trochę ponad 30 minut, po czym ruszyliśmy dalej. W końcu zaczęło się wypogadzać, słońce wyjrzało zza chmur i prześwitywało przez liściasty, zielony parasol. W pewnym momencie zauważaliśmy zwalone drzewo zagrządzające całą szerokość rzeki na wysokości około 30-35 cm nad wodą.

Początkowo nie zrobiło to na nas wielkiego wrażenia, ponieważ pokonywaliśmy już podobne przeszkody po drodze, jednak gdy dopłynęliśmy bliżej, sytuacja okazała się nieco trudniejsza. Tuż pod powierzchnią wody był kolejny pień, więc w tym wypadku nie dało się przepłynąć pod drzewem. Również nie można było wyjść z kajaka, ponieważ woda miała około 1,5 m głębokości. Po chwili zastanowienia wyciąłem maczetą nadbrzeżne krzaki i przenieśliśmy kajaki. Jednak opóźniło to nas o 20 minut. Wkrótce

po tej przygodzie wpłynęliśmy na jezioro Rumian. Oznaczało to, że już za niedługo dopłyniemy do miejsca naszego biwakowania. Było około godziny 17.

Gdy tylko dobiliśmy, razem z bratem zacząłem przygotowywać namioty, a tata wziął wędkę i poszedł na ryby. Po godzinie przyniósł 80-centymetrowego szczupaka. Rozpaliliśmy ognisko i mama przygotowała z niego pyszną kolację. Następnie pośpiewaliśmy piosenki przy ognisku i poszliśmy spać.

Pogoda następnego dnia była przepiękna i zapowiadała się gorący dzień, który zaczęliśmy od kąpieli w jeziorze. Potem zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy namioty i wypłynęliśmy. Niedługo po tym znowu byliśmy w leniwym nurcie Welu. Często mijaliśmy pastwiska dochodzące do rzeki i zrobione w tych miejscach wodopoje dla zwierząt. Potem zamiast pięknych łąk zaczęły nas otaczać bagna i torfowiska. Nie dało się nigdzie zatrzymać i wysiąść na brzeg, a woda miała ponad metr głębokości, więc wszystkie przeszkody musieliśmy pokonywać bez wysiadania z kajaka, co wcale nie było proste. Zwalone drzewa tuż pod powierzchnią wody lub zawieszane 30 cm nad nią co chwilę urozmaicały nam trasę. Jednak w pewnym miejscu trzeba było wyjść z kajaków, ponieważ drzewa były tak blisko siebie, że w żaden sposób nie dało się przepłynąć. Wyszedłem z kajaka i stanąłem na jednym z drzew. Na szczęście utrzymało mnie i uniknąłem kąpieli. Tata jako pierwszy wyszedł na bagnisty brzeg i od razu zapadł się do połowy tydek. Zaczął układać patyki, żeby inni mogli łatwiej przejść. W pewnym momencie usłyszałem nagły wybuch śmiechu. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem tatę, który wpadł w bagno po pas. Wyglądało to komicznie, lecz wcale nie było śmieszne. Pomogliśmy mu się wydostać i wszyscy przeszli na drugą stronę przeszkody, a ja przepychałem kajaki we właściwe miejsce. Następnie wsiedliśmy i ruszyliśmy w dalszą podróż, która na szczęście minęła nam już bez większych problemów.

Po kolejnych dwóch godzinach wpłynęliśmy na jezioro Tarczyńskie. Musieliśmy przepłynąć całą jego długość, na nieszczęście dla nas mieliśmy wiatr czołowy. Gdy dotarliśmy do jeziora Grady, ręce praktycznie odmawiały nam posłuszeństwa. Na szczęście zaraz za nim był mostek, przy którym czekał na nas samochód. Zapakowaliśmy kajaki i zmęczeni, ale szczęśliwi ruszyliśmy w drogę powrotną.



Znak i Litera

Damian Habera

RELACJA Z WYSTAWY GRAFIKI W BIBLIOTECIE JAGIELLOŃSKIEJ

Taki właśnie tytuł nosi nazwa wystawy książek artystycznych i grafik w Bibliotece Jagiellońskiej. Inspiracją dla dokładnie 52 artystów biorących udział w wystawie są właśnie litera lub znak.

Założeniem jest pokazanie szerokiej możliwości ich wykorzystania, specyfiki podejścia do tematu w zależności od reprezentowanego kręgu kulturowego. Wystawa może szokować odbiorcę, innowacyjnością, lecz jest to nieco złudne wrażenie. Przekonali się o tym osobiście uczniowie 3Ea, idąc na otwarcie wystawy. Kiedy doszło do konfrontacji ze sztuką, na twarzach pojawiło się zdziwienie. A po głowie przemyciała myśl: „To jest artyzm?” Faktycznie na pierwszy rzut oka całość prezentowała się, jak obrazki autorstwa małego dziecka, lecz po chwili kontemplacji i zastanowienia wystawa zaczynała przemawiać do odbiorców przeróżnymi twórcami wyobraźni autorów i zaczęła układać się w całość, która - można by powiedzieć - stała się wyraźnym wyrazem sztuki współczesnej. Nie trzeba było nikogo zachęcać, aby podszedł obejrzyć z bliska grafiki, wszyscy chętnie z ciekawością zagłębiali się w twórcze przekazy artystów.

Wystawę można podziwiać tylko do 10 października, więc trzeba się pośpieszyć, aby przez chwilę móc poobcować z dziełami współczesnych artystów. Można samemu przekonać się, w jakim kierunku podąża innowacyjne piękno. W trakcie trwania ekspozycji planowane są spotkania z grafikami, typografami, dystrybutorami papieru, poligrafami, bibliofilami. Tak, więc będziemy mogli zadać nurtujące nas pytania samym kreatorom kompozycji. Zapraszamy do Biblioteki Jagiellońskiej – wejście od ul. Oleandry 3.

Oczami kobiety

– podryw

Renata Makuch, Monika Sygut

PAMIĘTACIE ANDRZEJA I JEGO PORANNĄ HISTORIĘ? SPÓJRZMY W PRZYSZŁOŚĆ.

Tak... Znowu to samo, ci faceci. Czy oni nigdy nie rozumieją, że ich taktyka podrywu jest po prostu zła? Z jakichkolwiek porad korzystają, zasad dobrego podrywu czy bez konsekwentnego flirtu, nam się to nie podoba. Najlepszy bowiem podryw jest wtedy, gdy dziewczyna nie spodziewa się, że w danych okolicznościach chłopak pojawi się z zaproszeniem na randkę! Dlaczego faceci myślą, że jeśli puszcza oczko jakiejś pannie, a ona się uśmiechnie, to od razu jest ich? Panowie, pamiętajcie! O swoich „zdobyczach” rozmawiajcie z dala od nas, bo przez to czujemy się traktowane przedmiotowo, a żadna z nas tego nie lubi.

Zapewne każdy z Was myśli, że jesteśmy dziwne itp., no ale cóż, my jesteśmy po prostu wymagające. Byle „załoty” nas nie zadowolą, chłopak musi się postarać.

Nie liczcie na to, że dziewczyna zagada pierwsza, Wasz wzrok skupiony na niej niczego nie da. Nieważne, czy jesteś wysoki czy niski, wysportowany czy może informatyk, zazwyczaj, bo ciężko mi się wypowiedzieć za każdą dziewczynę, liczy się to, że się odważyłeś. Zwykle: „Hej, co tam?” może i jest pospolite, ale cieszy. Potem rozmowa powinna się jakoś rozkręcić.

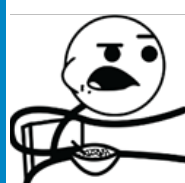
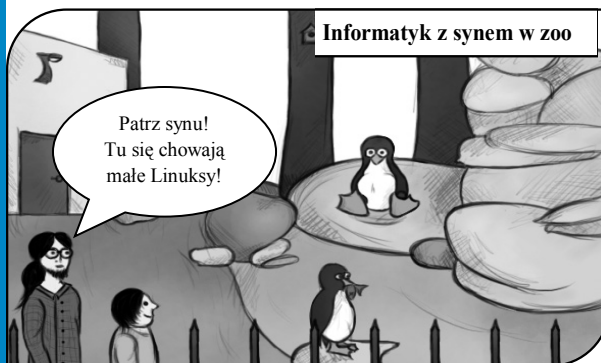
Aby podryw się udał, ważne jest też Wasze podejście do dziewczyny. Po poznanu jej lepiej oraz obserwowaniu jej stylu bycia powinniście wymyślić, czego być może ona oczekuje. Bo skoro to ONA jest już w głównym punkcie zainteresowania, to musi być wyjątkowa, a będąc wyjątkową osobą, na pewno liczy na coś na poziomie. Im bardziej oryginalny podryw, ale nie prymitywny typu: „Cześć mała, bolało jak spadałaś z nieba?” albo „Jesteś z kosmosu? Bo masz tyłek nie z tej ziemi”, tym bardziej skuteczny. Trzeba ustawić poprzeczkę wysoko, bo nigdy nie wiecie, jak Wasz poprzednik ją ustawił!

Więc Panowie, głowa do góry i działajcie, być może Wam się uda.

Kącik Sucharów

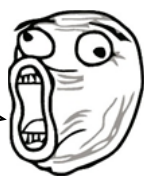
Laura Fus

JEŻELI ROZUMIESZ NASZE ŻARTY TO ZNACZY, ŻE NIE MASZ PRZYJACIÓŁ...



Po co informatyk idzie do lasu z aparatem w ręku?

Po Fotoszopa



Dlaczego nie należy programować w Boże Narodzenie?

Bo bug się rodzi



Recenzja filmu „Watchmen”

Artur Kawala

TWÓRCA „300”, „ŚWITU ŻYWYCH TRUPÓW”, „SUCKER PUNCH” TYM RAZEM WKROCZYŁ Z KAMERĄ PROSTO DO ŚWIATA SUPERBOHATERÓW.

Czy ekranizacja komiksu może być dobra? Więcej – czy ekranizacja komiksu o fantastycznych superbohaterach, którzy ratują świat, może być dobra? Jeszcze więcej (teraz uwaga) – czy amerykańska ekranizacja komiksu o fantastycznych superbohaterach, którzy ratują świat, może być dobra? Zack Snyder swoim obrazem odpowiada „TAK” – bezwzględnie, twardo. I ma rację.

Akcja „Watchmen” rozgrywa się w roku 1985. Alternatywna rzeczywistość, prezydentem USA jest Nixon, który szykuje się do wojny nuklearnej z ZSRR – ta w momencie rozpoczęcia filmu jest „za pięć dwunasta” – a superbohaterowie żyją pośród ludzi – kilka lat temu została podpisana ustawa zakazująca im działalności. To tak w wielkim skrócie, bo cała fabuła od samego początku rozwija się i jednocześnie rozszerza szybciej niż szybko.

Co się w tym filmie może podobać? Praktycznie wszystko. Seans przypomina wachanie bukietu, który przyrządzili dla nas twórcy. A bukiet ten pachnie niesamowicie. Pobudza wiele zmysłów, od prymitywnych po najbardziej wysublimowane. W dodatku jest bardzo ładnie, niemal misternie, przyozdobiony, wprowadza świeżość. Do opowiedzenia historii wykorzystano mniej znanych aktorów, którzy jednak spisali się wyśmienicie; tak dobrze, że nie na miejscu byłyby tutaj niewdzięczne narzekania. Byli świetnym łącznikiem, który pomagał widzowi zidentyfikować się z głównymi postaciami. Skoro już jesteśmy przy nich – należy zwrócić uwagę, iż tutaj nie są to typowi bohaterowie, do jakich nas przyzwyczajano w tego pokroju produkcjach. W tej historii zostają ukazani jako zwykli ludzie. Przez cały czas obserwujemy – i jednocześnie przeżywamy – ich rozterki, upadki. Widzimy, jak zadają pytania i nie otrzymują odpowiedzi. Spotkamy się tutaj z różnymi pro-

blemami (poważniejszymi niż zdawałoby się przypuszczać) i pytaniami, nad którymi warto myśleć i o których warto mówić dlatego, że nie zostały one stworzone w scenariuszu, a do niego przeniesione wprost z naszego świata. Film świetnie ukazuje Nowy Jork lat osiemdziesiątych – mroczny, nieprzenikniony. Zło, które zatruło miasto, obserwujemy oczami Rorschacha – jedyne chyba herosa, który nie zaprzestał działalności; wzmacnia on swoją aktywność, gdy ktoś morduje jego starego kompana, Komedianta. Wkrótce wciągnięci zostają w całą sprawę wszyscy ex-Strażnicy, akcja się rozszczepia i cały czas pozostaje wartka w każdej swojej gałęzi. Wraz z upływem filmu poznajemy wszystkich coraz lepiej m.in. poprzez wstawiane sceny z przeszłości, każdemu poświęcone zostaje spojrzenie z innej, jego własnej, perspektywy i w inny sposób. Wielką zaletą „Watchmen” niewątpliwie jest to, że z tak dobrym rezultatem zostały w nim połączone aspekty techniczne (efekty specjalne stoją na naprawdę wysokim poziomie) z niebanalną, ale mroczną opowieścią, która żyje w widzu jeszcze długo po wyłączeniu ekranu. Klimat tutaj można krajać nożem. Warto dodatkowo zwrócić uwagę na muzykę. Oprócz oryginalnego soundtracku podczas całego seansu usłyszymy jeszcze inne utwory, które od paru ładnych lat doskonale znamy (np. „Sound of Silence” czy „All Along The Watchtower”) i które wręcz idealnie wpasowały się w film świetnie oddając klimat poszczególnych scen.

Do tej pory obejrzałem co najmniej kilka(-naście?) ekranizacji rysunkowych opowieści. Niektóre były złe, inne gorsze. Ale muszę przyznać, że „Watchmen” przełamał stereotyp, uplasował się wygodnie wśród czołówek i raczej jej nie opuści. Zack Snyder udowodnił zaś, że można stworzyć obraz, który będzie i bawił, i zmuszał do myślenia. Podczas trzyipółgodzinnego seansu (polecam edycję rozszerzoną) zabolala mnie tylko jedna scena, więc całkiem nieźle. Moja ocena: 9/10.

Matura to bzdura?

Wojciech Gajda

MATURA ZBLIŻA SIĘ WIELKIMI KROKAMI. JAK NIE DAĆ SIĘ ZWARIOWAĆ?

Stało się. Stało się to, czego każdy z nas wolałby uniknąć – nadszedł wrzesień. A wraz z nim, w moim przypadku, prawdziwa chmara przemyśleń. Nie, nie należę do grupy refleksjonistów często snujących myśli nad sensem istnienia, ale przede mną ostatni rok w murach Zespołu Szkół łączności i niestety okres, w którym będę musiał zdecydować o swojej przyszłości, zbliża się nieubłaganie. W wyborze niestety nie pomogły wakacje, które minęły w ekspresowym, zaginającym czasoprzestrzeń tempie.

Nauka w szkole średniej zawsze kręci się wokół jednego. Słowo „matura” z ust nauczycieli i rodziców zaczyna padać już we wrześniu pierwszej klasy. A później coraz częściej. Im częściej, tym do niej bliżej. Bo tak się już w naszym społeczeństwie utarło, że ten egzamin dojrzałości jest najważniejszy i bez niego w życiu, to jak bez nogi. Mało tego – nie wystarczy zdać. Trzeba osiągnąć jak najwyższy wynik i okazać w ten sposób swoją ambicję. I tak od lat budowany jest w naszym kraju system edukacji. A wszystko po to, żeby dostać się na wymarzone studia i uzyskać tytuł, który pozwoli nam znaleźć dobrze płatną, porządną pracę. Tymczasem jak jest w Polsce, wszyscy widzą. Trzeba mieć klapki na oczach, by wierzyć w taką wizję. Były czasy, że osoba posiadająca dokument potwierdzający zdanie egzaminu dojrzałości, miała otwarte przed sobą wrota do każdej pracy. Potem wiele się zmieniło i to przestało już wystarczać – wtedy też rozpoczął się prawdziwy boom uczęszczania na uczelnie wyższe.

Absolwenci uczelni wyższych sami przebiegali w ofertach pracy. I tak rozwijała się już ta tradycja, aż do momentu, gdy okazało się, że wykształceni są wszyscy. Tylko po co komu tytuł magistra? W dzisiejszych czasach zamiast podziwiać osoby, które na studia się decydują, krzywo patrzy się na tych, którzy edukację kończą na etapie szkoły średniej. A pracy jak nie było, tak nie ma – nawet dla tych najlepiej wykształconych. Przeglądając ogłoszenia o pracy, naprzemiennie czytamy, że poszukiwani są: konsultanci telefoniczni, ulotkarze, kierowcy, sprzątaczkę, magazynierzy czy panie na stoisko mięsne... I posiadając takowe wyższe wykształcenie, w które miejsce zadzwonimy? Nadeszły czasy, kiedy przestaje liczyć się wiedza, a najważniejsze stają się umiejętności. Decydując się kilka lat temu na naukę w technikum w ZSŁ jednym z argumentów „za” był fakt, że szkoła przekazuje wiedzę techniczną, której poświadczeniem po 4 latach jest tytuł technika (pod warunkiem zdania egzaminu zawodowego). Wtedy jednoznaczny było to, że skrócę tym samym swoją ścieżkę edukacyjną, nie udając się na studia. Patrząc jednak na otoczenie, obserwuję sporą presję na całym młodym pokoleniu, by jednak na nie się udać. Czy nie zatrać się jednak wtedy idea istnienia techników?

Burzliwe rozważania związane z planami po ukończeniu edukacji w szkole średniej powinny być przede wszystkim podparte naszymi osobistymi czynnikami. Trzeba poważnie rozważyć obecną sytuację i zastanowić się, czy nie szkoda nam tych kolejnych 5 lat życia na leczenie cudzych kompleksów lub życie złudzeniami, że owo wykształcenie nam w czymś pomoże. Przeciwnicy tej teorii zaraz wykrzykną, że też nie zaszkodzi, a ponadto człowiek uczy się dla samego siebie... Ale pojawia się podstawowe pytanie: czy my po 13 latach nie wolimy już od tego zgłębku odpocząć?

Własny Smak

Łukasz Ożóg

KRÓTKI WYWIAD Z „NIEŁĄCZNOŚCIOWYM” PRZYJACIELEM, KTÓRY POSTANOWIŁ POCHWALIĆ SIĘ SWOJĄ PASJĄ W SIECI, ZAŁOŻYĆ BLOGA I CIESZYĆ SIĘ Z TEGO, ŻE WRESZCIE ROBI TO, CO LUBI.

Pod wpływem pewnej dyskusji postanowiłem przeprowadzić mały wywiad z moim rówieśnikiem. Najbardziej chciałem się skupić na pokazaniu Wam jednego z ciekawych sposobów na wypromowanie siebie oraz swojej pasji oraz żebyście dostrzegli, że do rozwijania swojego hobby nie zawsze potrzebne są różnego rodzaju kółka, SKS'y, itp. Nie warto siedzieć w kącie, wystarczy odrobina własnej inicjatywy i kto wie - może znajdziemy w tym swój sposób na życie bądź chociaż oderwanie od codziennej szarości?

Rozmawiałem z Patrykiem, 16-letnim licealistą. W kwietniu tego roku założył bloga, którego poświęcił gotowaniu. Może się wydawać, że nic szczególnego. OK, może tak jest, zależy od punktu widzenia. Mało jest jednak 16-letnich kucharzy prezentujących taki poziom na blogach w Internecie, ale według mnie najważniejsze jest, że Patryk potrafi się w tym odnaleźć i lubi to, co robi.

Ja: Może zaczniemy od samego początku. Z tego co wiem, interesujesz się prawem i historią, jesteś nawet na takim profilu. Co zatem zrodziło u Ciebie taki pomysł, gotowanie. Traktujesz to jako pasję? No i skąd w ogóle masz takie zdolności?

(P)atryk: Wiesz, gotuję od kąd skończyłem może 8 - 9 lat. Zaczęło się od pomocy mamie w kuchni, potem dość szybko przerodziło się to w zastępowanie jej przy przyrządzaniu

obiadów dla brata. Już parę lat temu zdarzało się bardzo często, że mama wchodziła do kuchni z zakupami, zostawiała mi je, a ja zajmowałem się resztą. Bardzo lubię gotować, dlatego nie oporowałem ;). Teraz traktuję to jako pasję, hobby. A prawo prawem, dalej chciałbym powiązać z tym moją przyszłość. To na pewno jedna z opcji.

Ja: No tak, a pomysł na bloga? I opowiedz coś także od strony technicznej, to teraz ciekawy temat.

P: Hm, jeśli mam mówić o blogu... może zacznę od początku. Jakoś w kwietniu tego roku powstał blog. W jego założeniu pomogli mi Gosia i Magda. Jedna robiła zdjęcia składnikom, potrawom, druga dodawała posty w sieci. Od strony technicznej mogę powiedzieć, że założenie takiego bloga na blogspocie czy innym portalu nie stanowi raczej żadnego problemu, może

to zrobić każdy, dlatego jest ich tyle. Do jego powstania skłoniło mnie także to, że dużo osób z otoczenia pytało mnie o przepisy, dlatego postanowiłem, że warto byłoby to udostępnić. Niedługo potem powstała także strona na FB. Dodatkowo sama świadomość, że może chociaż w małym stopniu komuś pomogę prostym przepisem, mnie zadowala, jest to jakaś motywacja do następnego posta i tym samym potrawy :) To odciąga mnie trochę od mojej codzienności i pozwala realizować hobby.

Ja: OK, to może teraz coś o tym co tam gotujesz?

P: Jestem wegetarianinem, od dłuższego czasu nie jem mięsa. Dlatego na blogu w zasadzie znajdują się same potrawy bezmięsne, część to także torty, ciastka, muffinki. Na „Własnym Smaku” staram się dodawać posty w miarę regularnie, jednak nie zawsze jest to możliwe. Siłą rzeczy, nie wszystkie moje pomysły lądują na łamach bloga. Teraz mam z jednej strony łatwiej, wakacje się skończyły, częściej widuję Gosię i Magdę, stąd łatwiej o zdjęcia i dobry opis.

Ja: Dobrze, zastanawia mnie jedna rzecz. Kilka razy w rozmowie padły słowa, że chciałbyś związać przyszłość z prawem, że jest to jedna z opcji. Czy gotowanie jest drugą? I czy myślisz, że na takich blogach można coś zarobić albo nawet z tego wyżyć?

P: Tak, gotowanie to na pewno dla mnie jedna z opcji na życie. Cieszyłbym się bardzo z własnej cukierni, to jedno z moich marzeń. Jak na razie musi mi wystarczyć blog :). Pytasz o zarobki. Owszem, zdarzają się blogi, które generują czasem niemałe dochody, chociażby z reklam. „Własny Smak” ma trochę nabitych wizyt, nie jest tak źle jak na czas, przez jaki widnieje w sieci. Myślę, że w niedalekiej przyszłości będę mógł pomyśleć o jakimś gotowym rozwiązaniu, jak np. to z Google. Utrzymywać się z bloga? Zależy na pewno jakiego. Jeśli ktoś znajdzie sponsorów, będzie pisał artykuły sponsorowane, to pewnie tak. Dużo się o tym słyszy, popularność blogów też rośnie. Dla mnie to jednak w dalszym ciągu jest sposób na relaks i realizację hobby.

Ja: Dzięki za rozmowę Patryk, życzę sukcesów z blogiem w dalszym ciągu :)



Film – Noc na ziemi kastel

KINO TYM RAZEM ALTERNATYWNE, ALE ZAWSZE GODNE UWAGI. MOJA PRACA PISANA NA KONKURS PORTALU FILMWEB.

Film, chociaż już stary, bo sprzed ponad 20 lat, odkryłem dopiero niedawno i to przez najzwyczajniejszy przypadek. Krakowskie kino „Pod Baranami” jak co roku w wakacje organizuje promocyjne seanse po 6 zł, więc przejrzałem repertuar tylko i wyłącznie po tytułach i właśnie ten („Noc na ziemi”) przykuł moją uwagę. Efekt: strzał w dziesiątkę.

Obraz ten stworzył jeden z najbardziej popularnych, niezależnych, amerykańskich reżyserów - Jim Jarmusch („Poza prawem”). Skonfrontował ze sobą w każdej taksówce dwie kontrastowe postacie. Ta przygoda zaczyna się w Los Angeles, gdzie nastoletnia dziewczyna Corky, odbiera z lotniska starszą kobietę o imieniu Victoria. Kobieta od wielu lat zajmuje się castingami do filmów. Wraz z kierowcą rozmawiają o swoich marzeniach i planach na przyszłość. Gdy kończy się ten kurs, czas się cofa i przenoszeni zostajemy na drugie wybrzeże Stanów Zjednoczonych do miasta, które nigdy nie śpi – do Nowego Jorku. Stoiśmy na ulicy z facetem, próbującym złapać taryfę na Brooklyn. W pewnym momencie udaje mu się złapać się taksówkę, którą prowadzi emigrant ze wschodnich Niemiec. Mało co rozumie z języka angielskiego, nie zna Nowego Jorku, nie umie prowadzić samochodu, a wcześniej był klaunem. Afroamerykanin Yoyo (Giancarlo Esposito) podczas kursu uczy go podstawowych praw przeżycia w wielkim mieście.

Kolejne miejsce, które zobaczymy to Paryż. Kierowca (Isaach De Bankolé), który ma zły i pechowy dzień przewozi niewidomą kobietę (Béatrice Dalle), która pokazuje mu, że mimo swej choroby nie uważa, żeby była gorsza od innych. Następna historia odbywająca się w tym samym czasie, co pozostałe, dzieje się we Włoszech. Szalony taksówkarz (Roberto Benigni) przewozi księdza, któremu pragnie się wypowiedzieć ze swoich grzechów – co ma dla księdza fatalne skutki. Ostatnia opowieść, której jesteśmy świadkami, odbywa się w Helsinkach, stolicy Finlandii. Mika (Matti Pellonpää) zawozi zalaną w trupa pasażerów i opowiada im swoją historię...

To film przedstawiający pięć różnych historii, odbywających się w różnych miastach, w różnych strefach czasowych. Te historie jedyne, co wiąże ze sobą, to nocny kurs taksówką i to, że kierowcę i pasażera łączy więź, która mimo tego, iż już nigdy najprawdopodobniej się nie zobaczą, nigdy już o sobie nie zapomną.

Film opiera się na dialogach, właściwie nie oddalamy się od taksówki nie dalej jak na parę metrów. Tak więc fani mocnych wrażeń zachwyceni nie będą. Ale tu nie chodzi o wszędzie latające kule, lecz o ludzi i to, co oni mają do powiedzenia. Są sceny wzruszające i poruszające w nas uczucia, które gdzieś mamy pokrywane w głębi nas, jak Mika, który opowiada swoją smutną historię o swoim dziecku. Są też takie, które podnoszą na duchu, są lekkie i rozbawiające dające okrucieństwa nadziei na lepsze dni. Takie jak na przykład scena, gdy Helmut (emigrant z Niemiec Wschodnich) wyjawia to, że wcześniej był klaunem. Bardzo przyjemne jest uczucie, gdy oglądamy ten film i mamy gęsią skórę na ramionach i plecach – to oznaka najwyższego poziomu: 10/10 możliwych punktów.

Moje seriale kastel

O FILMACH JUŻ PISAŁEM, ALE O SERIALACH? PRZYGOTUJCIĘ SIĘ NA LISTĘ PRODUKCJI TELEWIZYJNYCH, KTÓRE OBEJRZAŁEM I UWAŻAM, ŻE SĄ GODNE (ALBO I NIE) OPISANIA. OTO MOJE TOP 15! PONIEWAŻ JEST TEGO SPORO, ARTYKUŁ BĘDZIE ROZŁOŻONY NA KILKA NUMERÓW, DLATEGO NIE PRZEGAPCIE NASTĘPNYCH NUMERÓW „MARGINESU”.

UWAGA! TEKST MOŻE ZAWIERAĆ SPOLILERY.

„Rodzina Borgiów”

Serial jest oparty na podstawie książki pod tym samym tytułem autorstwa Maria Puza – wybitnego pisarza i scenarzysty (Tak, tak. To ten co napisał „Ojca Chrzestnego”). Serial to historia rodziny Borgiów (logiczne), która jest nietypowa. O tyle nietypowa, że głową tej rodziny jest sam papież – mianowicie Aleksander VI. Jest to autentyczna historia rodu, bo oficjalnie ta głowa kościoła jest uznana za protoplastę mafii. Co do serialu to niestety ta produkcja ShowTime nie ucieszyła się dużą popularnością, miała za to świetną kampanię reklamową z zabójczo luźnym i dowcipnym sloganem, który zapadł mi głęboko w pamięć: „Władza. Krew. Seks. Amen”.

Serial niestety w porównaniu do książki jest daleko w tyle. Nie jest w stanie uratować tego dobra rola Jeremiego Ironsa. Całość jest potraktowana po macoszemu i ogólnie to szkoda czasu na to – przewidywalny finał, ucięte wątki główne z książki. 12 odcinków po 50 minut to niby nie dużo, ale naprawdę lepiej przeznaczyć je na liczenie delty i innych zaczarowanych rzeczy. Produkcja póki, co ma 1 sezon i módlmy się, żeby drugi był o niebo lepszy, albo w ogóle nie ujrzał światła dziennego.

„Ranczo”

Ujawnię, że lista składa się głównie z zagranicznych produkcji, ale w tej części będzie trochę polskiego akcentu. TVP dawno temu postanowiło, że umili nam niedzielne wieczory z rodziną, ciepłym i przyjaznym serialem, (!), a nie kolejną operą mydlaną, po której aktorzy już zawsze będą Ryškami, Mačkami, Bożenkami albo co gorsza „no ten, co grał w tym... Jezu jak on się nazywał?!” Plot fabularny to opowieść o Amerykance, która przyjeżdża na polską wieś do odziedziczonego dworku. W malowniczej, krajobrazowej i niemalże utopijnej miejscowości Wilkowyje trwa nieustanna walka pomiędzy władzą kościelną, a polityczną. I w tym momencie pojawia się niesamowita pomysłowość twórców – jeden aktor w podwójnej roli. Cezary Żak brawurowo podołał temu zadaniu. Jedyne minus tego jest taki, że to co jest od dawna na Zachodzie standardem, to w Polsce dopiero raczkuje i nie jest popularne. W Stanach aktor w podwójnej roli to niemalże normalne zjawisko, ale i tak „Ranczo” to pierwszy od dawien dawna dobry polski serial, z niezłym światem przedstawionym, bohaterami, których lubimy, a przede wszystkim wybornymi gagami oraz scenariuszem. Wszystko tak dobrze wypaliło, że serial okazał się sukcesem i szybko nie mogliśmy się doczekać następnego odcinka, a po nim sezonu. Tak nas to wszystko urzekło, że teraz już nie wyobrażamy sobie, że moglibyśmy coś innego robić w niedzielę wieczór. Dziś, kiedy powstaje tekst, „Ranczo” ma się już ku końcowi, co jest dobre, ponieważ szkoda, żeby dobry serial, który się sprzedaje, zamienił się w telenowelę, a ostatnie sezony skutecznie dążą w tym niechcianym kierunku. Właśnie dlatego pozycja nie najwyższa.

„Skins”

Ta seria jest uwielbiana przez nieliczne (w naszej szkole) nastolatki. Nie znam dziewczyny, która by się nie zachwycała tym serialem (jeżeli się nie zachwyca tym to na 100% kocha „Gossip girl”). O czym jest ta (póki co – 5 sezonowa) produkcja? Jest to opowieść o brytyjskich nastolatkach i ich problemach, wiecie - to wszystko, czym się mogą przejmować patologiczne dzieci – narkotyki, uczucia, uczucia, narkotyki oraz dubstep (co prawda do dubstepu nie mam nic). Ech. Jak to zawsze bywa – pierwszy sezon to prawdziwa pompa. Jest tu wszystko cudowne, dialogi postaci, etc. No więc, z zapartym tchem śledzimy fabułę i przyznaję, że pierwsze dwa sezony są naprawdę świetne – sam, mimo własnych uprzedzeń byłem zafascynowany. Dopiero gdy rozpoczął się trzeci sezon, zaczęła się prawdziwa lipa i spadek poziomu. Wiecie, ponieważ akcja dzieje się w takiej normalnej szkole średniej (tu, pragnę wtrącić swoją opinię, że nasza szkoła nie jest normalna ani trochę), tak że bohaterowie kończą szkołę egzaminami końcowymi i z nimi niestety scenarzyści każą nam się pożegnać. W trzecim sezonie wchodzi nowe postaci, ale problemy wciąż są te same. Poczuciem jest to, że pojawiają się niektóre gwiazdy pierwszych sezonów. Pytaniem, w tym momencie jest to, czy warto oglądać dalej? Można. Trzeci i czwarty sezon, pomimo że są gorsze od poprzedniczek, też wciągają. Totalna masakra jest wraz z 5 sezonem. Mnie odradzano, ale nie usłuchałem i obejrzałem. Niech mnie Bóg broni, żeby nie chciał oglądać szóstego sezonu. Nie ma mowy. Bądźcie mądrzejsi ode mnie i obejrzyjcie coś innego albo dalej liczcie delte.